

Nie piję, nie palę - tworzę

- Siedem godzin w drodze to dla mnie norma. Czasem nawet 12 - ot, typowy weekend. Łatwiej jest w dobrym towarzystwie, a mój zespół jest wspaniały. Koncertuję z muzykami z Polski i ze Szkocji. Dużo inwestuję w jakość takich podróży. 20 lat kariery solowej wiąże się z wymaganiami - dbam o dobrej jakości sprzęt muzyczny, instrumenty, odpowiednie wynagrodzenie dla muzyków i pracowników - mówi RAY WILSON, mieszkający w Poznaniu szkocki wokalista, gitarzysta, kompozytor, autor tekstów, w latach 1996-1998 wokalista grupy Genesis. W 2001 r. rozpoczął karierę solową.

Kinga Ścieszko: - W trakcie tej trasy koncertowej wystąpiłeś już na wielu scenach w Niemczech, teraz czeka cię występ w Łodzi - moim mieście - i wiele innych w Europie. To będzie ciężki rok?

Ray Wilson: - O tak, to się powtarza każdego roku. Mam cztery do pięciu miesięcy wolnego, a pozostałe dni spędzam w trasie.

We wrześniu świętowałeś pięćdziesiąte urodziny - wszystkiego najlepszego! Czego życzylibyś sobie?

- Dziękuję! Chyba najbardziej życzylibym sobie dobrego zdrowia. Ono jest najważniejsze. Codziennie pracuję z mnóstwem osób, zatem dużo zależy od mojego stanu. Jeśli jestem chory, ludzie z mojego otoczenia mają utrudnioną pracę. Dlatego dbam o siebie - zdrowo się odżywiam, nie piję alkoholu, nie palę, kilka razy w tygodniu chodzę na siłownię.

Musisz być zatem dobrze zorganizowany, by, pracując w takim trybie, znaleźć jeszcze czas na ćwiczenia.

- Szczerze mówiąc, same podróże męczą o wiele bardziej niż koncerty. Siedem godzin w drodze to dla mnie norma. Czasem nawet 12 - ot, typowy weekend. Łatwiej jest w dobrym towarzystwie, a mój zespół jest wspaniały. Koncertuję z muzykami z Polski i ze Szkocji. Podczas trasy koncertowej każdy się troszczy o innych. Dużo inwestuję w jakość takich podróży. 20 lat kariery solowej wiąże się z pewnymi wymaganiami - dbam o dobrej jakości sprzęt muzyczny, instrumenty, odpowiednie wynagrodzenie dla muzyków i pracowników. Wszystko musi być tak, jak trzeba, co wiąże się także z ciężką pracą.

Spodziewałeś się, że w ten sposób będziesz obchodzić pięćdziesiąte urodziny - z twoim zespołem, w trasie?

- Pamiętam, jak świętowałem swoje czterdzieste urodziny w Polsce. Wiele osób uważało, że to mało prawdopodobne, bym za kilka lat nadal był tutaj, a jednak tak się właśnie stało. To dla mnie niezwykle, że wciąż robię to, co robię. W przemyśle muzycznym nigdy nie wiadomo, jak życie się potoczy, czy ludzie, z którymi się współpracuje, zostaną. To świetne uczucie, że nadal mogę robić to, co kocham i występować na scenie z tak wspaniałymi ludźmi.

Powiedz coś o swoim koncercie w Łodzi. Czy usłyszymy utwory z ostatnich płyt? Zamierzasz czymś zaskoczyć?

- Zawsze staram się dać ludziom coś nowego. Nie pomijam jednak znanych utworów Genesis oraz swoich solowych. Większość repertuaru to piosenki, których ludzie najbardziej lubią słuchać na koncertach. Zawsze staram się myśleć o publiczności, to w końcu dla niej gram koncerty, nie tylko dla siebie. Czy szykuję niespodzianki? Może. Każdy występ jest inny, być może to koncert zaskoczy mnie.

Wiem, że cenisz Patrycję Markowską czy Annę Marię Jopek. A co sądzisz na temat polskiej sceny muzycznej w ogóle?

- Uważam, że jest w dobrej formie. Polska ma wielu artystów, którzy są muzykami międzynarodowymi. Widzę też, że wiele się dzieje - duża liczba koncertów, nowe wydawnictwa. W moim zespole mam wielu polskich muzyków i bardzo cenię tę współpracę.

A czy odczuwasz różnicę między pracą z muzykami z Polski i ze Szkocji?

- Tak. To inny sposób myślenia, odczuwania. Szkoci są bardziej rockandrollowi. Każdy z moich polskich muzyków jest absolwentem akademii muzycznej lub uniwersytetu, podczas gdy prawie żaden ze szkockich członków zespołu nie jest. To ciekawe połączenie, zderzenie dwóch światów. Gdy zaczęliśmy projekt Genesis Classic, zauważyłem, że Polska może poszczycić się ogromną liczbą świetnie wykształconych, profesjonalnych instrumentalistów. To był jeden z powodów, dla których zdecydowaliśmy się na tworzenie tego bezprecedensowego projektu, ponieważ Genesis nigdy nie próbowało znaleźć wspólnych punktów ze światem muzyki klasycznej. To wydarzenie pokazało, że połączenie orkiestry symfonicznej z rock'n'rollem jest możliwe, a każdy z muzyków włożył w ten projekt dużo serca i nowych jakości, które można było usłyszeć podczas koncertów. Fanom przypadło do gustu takie połączenie - wiemy o tym, bo mamy z nimi dobry kontakt.

Wiążę się to z faktem, że często występujecie w mniejszych klubach czy teatrach, gdzie atmosfera jest intymna.

- Zawsze uwielbiałem klimat mniejszych sal. Czy występuję w Warszawie, czy w Poznaniu, staram się wcześniej poznać kluby i teatry, w których będę grał. Wybieram takie na 500-800 osób, żebym mógł widzieć fanów, czuć atmosferę, nawiązać kontakt wzrokowy. To cudowne uczucie zarówno dla wykonawców, jak i dla publiczności. Niewielu jest artystów na miarę Freddiego Mercury'ego, który potrafił wytworzyć magiczną więź między zespołem a publicznością wypełniającą stadion. Według mnie, najlepszym sposobem na spotkanie z ulubionym artystą jest wybranie się na jego koncert do klubu albo teatru, gdzie można naprawdę poczuć to, co robi. Nie uważam się oczywiście za Mercury'ego. Po prostu uwielbiam kontakt z ludźmi, którzy przyszli posłuchać mojej muzyki.

Często rozmawiasz z fanami po koncercie?

- Za każdym razem! Bardzo często nasze rozmowy po występie trwają dłużej niż sam koncert.

A czy będziesz miał okazję do zwiedzenia Łodzi przed albo po koncercie? Wiem, że kilkakrotnie odwiedziłeś nasze miasto, ale ono stale się zmienia. Warto je zobaczyć w okresie świątecznym.

- Macie najbardziej znaną i najdłuższą ulicę w Polsce. I świetne restauracje. Przyjeżdżaliśmy tu kilkakrotnie z moją żoną Gosią, ponieważ tańczyła w łódzkich teatrach. Byłem w Manufakturze, która zrobiła na mnie duże wrażenie. Koncert w Filharmonii Łódzkiej to dobra okazja do powtórzenia wycieczki po Łodzi.

Fot. mat. pras. Ray Wilson